Synod – dobro, które przygotował Bóg

Nazywam się Aleksander Bańka. Chciałbym trochę poopowiadać o pewnym projekcie dla Kościoła przyszłości; o pewnej rzeczywistości, którą od pewnego czasu proponuje nam ojciec święty Franciszek – mianowicie o synodzie, który właśnie ma miejsce. Też o tym, co w związku z synodem w Kościele się dzieje.

Jestem mężem i ojcem – mam dwóch synów, wspaniałą żonę. Na co dzień pracuję na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach – jestem wykładowcą filozofii, między innymi filozofii chrześcijańskiej. Posługuję w Centrum Duchowości Ruchu Światło-Życie Archidiecezji Katowickiej w Tychach. To jest takie centrum, które zajmuje się posługą modlitwy, pracą terapeutyczną z osobami w potrzebie oraz szeroko pojętą działalnością ewangelizacyjną. Jestem też zaangażowany przy Episkopacie Polski w Radzie ds. Apostolstwa Świeckich. Właśnie z ramienia tej rady dostałem propozycję reprezentowania Polski na synodzie, który 9 października 2021 roku ojciec święty Franciszek otworzył w Rzymie, a 17 października w kościołach lokalnych na całym świecie.

Spróbuję wam dzisiaj przybliżyć to, co papież chce dać Kościołowi i nam poprzez ten specyficzny synod, który zakończy się w październiku 2023 roku. Synod ten w Polsce (i nie tylko w Polsce) budzi liczne kontrowersje, wiele pytań i wątpliwości. Przede wszystkim dlatego, że jest inny niż wszystkie wcześniejsze, które miały miejsce. Pewnie wiecie, że raz na jakiś czas papieże zwołują synody. Te synody od 1965 roku mają formułę ogólnego zgromadzenia biskupów. A więc raz na jakiś czas zjeżdżają do Rzymu biskupi, po to, żeby rozważać, badać, rozeznawać i być głosem doradczym dla papieża w ważnych dla Kościoła sprawach. Te synody mają długą historię, poruszały różne tematy. Niedawne, które papież Franciszek zwoływał, były poświęcone rodzinie i młodzieży. Ale teraz papież zaproponował Kościołowi synod, który: po pierwsze nie jest jednorazowym wydarzeniem, które trwa przez parę tygodni w Rzymie, tylko jest rozciągnięty na dwa lata; po drugie ma dziwną nazwę, bo nazywa się „Ku Kościołowi synodalnemu: komunia, uczestnictwo, misja”. Niektórzy mówią, że jest to synod o synodalności. O co tu chodzi? Przecież to „masło maślane” albo coś jeszcze bardziej podejrzanego. Dziwna nazwa, dziwna formuła i jeszcze na dodatek wokół tego synodu jest bardzo wiele rozmaitych kontrowersji.

Spójrzmy za naszą zachodnią granicę na „synodalną drogę niemiecką”, która może budzić wiele niepokojów. W gronie synodalnych delegatów są proponowane zmiany, które zahaczają o wymiar doktrynalny Kościoła. To jest kwestia takich kontrowersyjnych rzeczy, jak kapłaństwo kobiet, sakramentalny status kapłaństwa i wiele innych pomysłów, które na razie są debatowane, ale wielu niepokoją. Mnie też. „Droga niemiecka” nie ma żadnej mocy sprawczej. Uchwały tam podejmowane czy dokumenty wypracowywane nie są w żaden sposób wiążące ani dla Episkopatu Niemiec, ani tym bardziej dla Watykanu. Wiem, bo pytałem prawników – specjalistów od prawa kościelnego. I nie jest to w ogóle żaden synod. To jest pewnego rodzaju

zwołanie, które nie ma nawet statusu synodu lokalnego. Ale w powszechnej świadomości wybrzmiewa jako coś takiego, co jest forpocztą rewolucji w Kościele. I wielu twierdzi, że papież Franciszek jest tym mocno zainspirowany. Po kilku miesiącach intensywnego zajmowania się synodem i po tym, co widziałem w Rzymie, mogę powiedzieć jednoznacznie, że papież Franciszek nie jest tym zainspirowany, ale jest bardzo wobec tego krytyczny. Druga sprawa – istnieje w obiegu medialnym przekonanie, że w Kościele szykuje się rewolucja, spisek biskupów niemieckich z amazońskimi. I że papież sprzyja tej rewolucji. Tylko czeka na okazję, żeby wprowadzić w Kościele daleko idące modyfikacje doktrynalne. Jest jeszcze wiele głosów, które narosły wokół tematu synodalności. One sugerują, że jesteśmy w niebezpiecznym dla Kościoła momencie i że trzeba bronić Kościół przed papieżem.

Kiedy dowiedziałem się, że zostałem powołany do grona dziesięciu reprezentantów Europy, którzy w tym synodzie mają wziąć udział (w sumie zgromadziło się w Rzymie 250 reprezentantów z całego świata), postanowiłem, że sprawdzę, o co w ogóle w tym synodzie chodzi. Ogólnie miałem pojęcie, bo są to tematy, które mocno mnie interesują. Od lat zajmuję się tematyką Kościoła nie tylko naukowo, ale także w praktyce. Staram się być na bieżąco z tym, co daje nam Kościół – rozeznawać, badać i żyć tym. To, co odkryłem i sprawdziłem w Rzymie, było dla mnie bardzo inspirujące. Spotkania, w których brałem udział, pokazały mi wiele ważnych rzeczy, które mam nadzieję mogą być inspirujące dla was – dla ludzi, dla mężczyzn, którym leży na sercu dobro Kościoła. Chcecie się w Kościele rozwijać, wzrastać. Kościół jest waszą przestrzenią łaski, miejscem, w którym Bóg was prowadzi. Chcecie dobra tego Kościoła, tak samo jak ja.

Najpierw trochę historii. To nie będzie akademicki wykład. Był dokładnie 15 września 1965 roku. Zapamiętałem tę datę, bo 15 września są urodziny mojej żony. Niewiele dat pamiętam. To jest sfera, którą wypieram, żeby sobie nie zaśmiecać głowy zbyt wieloma niepotrzebnymi informacjami. Ale są pewne daty, które pamiętam, te kluczowe. To takie męskie. Prawda? Moja żona pamięta wszystkie daty, więc mam chodzący kalendarz i mogę sobie skutecznie radzić w ten sposób. Więc datę 15 września 1965 roku zapamiętałem. To jest data, kiedy papież Paweł VI powołuje w Kościele coś takiego, co nazywa się zgromadzeniem ogólnym biskupów, czyli taki synod ogólnoświatowy. Ale historia synodów jest dużo starsza. Jeśli sięgniemy do samych początków Kościoła, to zobaczymy, że w kościołach lokalnych były powoływane małe zgromadzenia po to, żeby wspólnie się modlić, rozeznawać, badać i dyskutować nad ważnymi dla Kościoła sprawami. W takich małych synodach Kościół gromadzi się od samego początku. Tak było we wspólnocie w Koryncie, w Efezie, w Antiochii i w innych miejscach, w których wspólnoty powstawały. W tych lokalnych zgromadzeniach brali udział głównie biskupi, prezbiterzy, ale także świeccy, np. Orygenes w wielu takich synodach uczestniczył. Gromadzili się, gdy pojawiał się jakiś problem duszpasterski lub doktrynalny i trzeba go było rozwiązać. Był taki ważny synod w Braga, który poczynił wiele rozstrzygnięć dogmatycznych. Zostały one później przyjęte przez papieża.

Czym cechowały się te synody? Cechowały się jedną ważną rzeczą – miały pewien określony styl dialogu. Niezwykle ważne było to, że ci, którzy się tam gromadzili, spotykali się nie jako eksperci; schodzili się nie po to, żeby nawzajem się przegadywać czy udowadniać sobie coś. Ale gromadzili się, aby się modlić i nawzajem siebie słuchać, żeby rozeznawać. Pojęcie rozeznawania jest stare jak sam Kościół. Od samego początku powstawały w Kościele reguły rozeznawania indywidualnego i wspólnotowego. Synody były miejscem rozeznawania, słuchania tego, co Duch mówi do Kościoła. Wtedy jeszcze nie do końca było jasne, czym się różni synod od soboru. Sobór miał charakter bardziej powszechny, synod bardziej lokalny. To, co łączyło synody to pewien styl dialogu. W pierwszych wiekach chrześcijaństwa synody odbywały się tak często, że stanowiły pewien styl Kościoła. W V wieku święty Jan Chryzostom, wielki ojciec Kościoła, powiedział nawet, że Kościół i synod to synonimy. Pojęcie synodu (syn i hodos) można przetłumaczyć jako wspólną drogę, wspólne wędrowanie. Czyli ta wspólna droga -synod jest synonimem Kościoła.

Punktem odniesienia dla pierwszych zgromadzeń synodalnych było to, co stanowi o naszej chrześcijańskiej tożsamości, czyli chrzest. Spotykali się w duchu braterskim, jak równy z równym – biskupi, prezbiterzy, wybrani świeccy po to, żeby nawzajem siebie słuchać, wierząc głęboko, że mają tego samego Ducha. Punktem odniesienia dla nas też jest chrzest – korzeń naszej tożsamości. Czyli jesteś w Kościele ważny, masz swoją tożsamość i podmiotowość nie przez stan, w którym żyjesz – małżeński czy kapłański, ale podstawowym źródłem twojej i mojej tożsamości jest chrzest. Przez to jesteśmy wszczepieni w Kościół i z tego wyrasta cała nasza podmiotowość w nim. Takie było przekonanie pierwszego Kościoła. To przekonanie wraca po Soborze Watykańskim II. Kościół w swojej teologii bardzo mocno tę koncepcję odnawia.

Dlaczego o tym mówię? Kościół pierwszego tysiąclecia tak głównie funkcjonował. Ale później Kościół się rozwija, krzepnie, rozrasta się, zaczyna nabywać coraz więcej struktur. Drugie tysiąclecie Kościoła to jest czas, kiedy Kościół coraz mocniej musi budować formalną relację do państwa. Buduje ją od początku, ale nastąpił taki moment, kiedy władza świecka i władza kościelna musiały dojść do porozumienia. A jaki system panuje wówczas w relacjach społecznych i sposobie świeckiego sprawowania władzy? Feudalny. Drugie tysiąclecie to jest czas feudalizmu średniowiecznego. I Kościół przejmuje feudalną strukturę. Czyli na hierarchię w Kościele, która jest i zawsze była ważna, zostaje nałożona „czapa” feudalna. I ta feudalizacja hierarchii w Kościele powoduje superhierarchiczność. Przerost struktury hierarchicznej jest sprzeczny wobec naszego pierwotnego fundamentu – chrztu. W strukturze Kościoła wykształcają się stany – z silnym akcentem na stan kapłański i słabym wskazaniem na tzw. stan świecki. Świeccy powoli stają się w Kościele grupą drugiej kategorii. W drugim tysiącleciu nadal odbywają się synody, ale świeccy już praktycznie w nich nie uczestniczą. Głównie są to synody, na których gromadzą się biskupi i prezbiterzy.

Superhierarchiczność położyła naciski na rolę duchowieństwa na rzecz minimalizacji roli świeckich. I takie myślenie pokutuje do dzisiaj. Dla nas świeckich jest to nawet wygodnie. Zwalnia nas z masy rzeczy. Przyjęliśmy pozycję tych, którzy mają w Kościele słuchać, nie wychylać się, za bardzo nie angażować. Od ewangelizowania,

głoszenia, nauczania są duchowni. I co się stało? Stało się tak, że duchowieństwo wyrosło na taką trochę superkastę, od której my świeccy oczekujemy bardzo wiele, nakładamy na nią wysokie oczekiwania. Ale niech tylko spróbują ich nie wypełnić. Wówczas ich brutalnie z tego rozliczamy.

Dlaczego od wielu lat mówi się w Kościele o „śpiącym olbrzymie”? Czyli o „uśpionych” świeckich, którzy nie są w stanie podjąć żadnej odpowiedzialności za Kościół; którzy nie mają świadomości swoich kompetencji; którzy nie wiedzą, co im wolno, a czego nie wolno w Kościele.

Kiedyś miałem taki epizod w swoim życiu – wychodziłem na ulicę ewangelizować w cztery oczy. Nadal to czasami robię. Szedłem sam albo z kimś z mojej wspólnoty między ludzi i pytałem, czy mogę się podzielić moim doświadczeniem wiary w Pana Jezusa. W Tychach, gdzie mieszkam, miałem takie obszary (okolice Tesco), gdzie grasowałam. Potem to miejsce jakoś dziwnie opustoszało… Spotykałem się z wieloma ludźmi. Czasami były to bardzo dobre spotkania, częściej byłem odrzucany. Ale z wieloma ludźmi rozmawiałem, mówiłem im o Jezusie, modliliśmy się. Mam w sercu wiele poruszających wspomnień – ludzi oddających swoje życie Jezusowi na ulicy, modlitwy nawzajem za siebie. Trzeba było opanować strategię podchodzenia do ludzi. Jest taka metoda „na zakładkę”: on idzie tędy, ja podchodzę tamtędy, zatrzymuję go i mówię: Przepraszam bardzo, mam na imię Aleksander. Witaj! Czy mogę ci w paru słowach powiedzieć o moim doświadczeniu wiary w Pana Jezusa? Jeszcze nie skończyłem mówić, a jego już nie ma. Opracowałem nową metodę – „na towarzysza”, czyli „przypadkiem” idę koło niego i zanim on powie: Spadaj, dziadu! – jest szansa, że przez kilkanaście sekund, kiedy będę szedł obok niego, zdążę powiedzieć mu kerygmat. Da się to zrobić w 30 sekund. Stosowałem różne techniki „ewangelizacyjne”. Kiedyś podchodzę do jednej pani, wydawała się otwarta i mówię: Dzień dobry, nazywam się Aleksander. Czy pozwoli mi pani powiedzieć w paru słowach o swoim doświadczeniu wiary w Pana Jezusa? To jest dla mnie bardzo ważne. Bóg przemienił moje życie. I mówię, mówię, żeby jak najwięcej zdążyć powiedzieć. Ta pani tak słucha, słucha… W pewnym momencie mi przerywa i mówi: Ale po co pan mi to mówi? Przecież od tego są księża w kościele. Myślę: O, kurczę! Dobre pytanie. Zgodne z tradycją i doświadczeniem tej kobiety. Tylko że to jest zupełnie nieeklezjalne, nieewangeliczne i niebiblijne.

Jak sobie spojrzymy do Dziejów Apostolskich, to widzimy historię Pryscylli i Akwilii. Nigdy nie pamiętam, kto jest kto. Ale Pryscylla to jest chyba ona, a Akwila to jej mąż. Małżeństwo, które w Rzymie stanowiło trzon wspólnoty chrześcijańskiej. Później ich stamtąd wyrzucili, więc przenieśli się do Koryntu. W Koryncie udostępnili Pawłowi swój dom i u nich spotykał się pierwszy Kościół. Potem razem z Pawłem przenieśli się do Efezu i tam również troszczyli się o pierwszy Kościół. Ewangelizowali, byli katechistami. To oni „poukładali” wiarę Apollosa i wysłali go na misję. Po pewnym czasie wrócili z Pawłem do Rzymu i znowu w ich domu spotykał się Kościół. Byli liderami wspólnoty rzymskiej. Małżeństwo. Świeccy. Z Pawłem ramię w ramię ewangelizujący, głoszący Jezusa. Takich przykładów było wiele w pierwszym Kościele, bo to był normalny Kościół. To jest esencja, istota Kościoła. Kiedy Paweł mówi, że jesteśmy jednym ciałem w Chrystusie, to jest jeden z najwcześniejszych obrazów

Kościoła. Każdy z nas jest jednym członkiem tego ciała, ale wszyscy stanowimy jedno. Oczywiście głowa jest po to, żeby była głową, paznokieć jest po to, żeby był paznokciem. Ale to nie jest tak, że paznokieć jest mniej ważny od głowy. Bo jak mnie boli palec, to źle się ma całe moje ciało. Jak mi strzyka w uchu, to się przenosi na inne części mojego ciała. Jesteśmy powiązani, każdy członek jest ważny. Na przestrzeni dziejów my świeccy straciliśmy dwie rzeczy: świadomość tego kim jesteśmy przez fakt chrztu, a po drugie pewien styl rozmowy, dialogu. Ten styl rozmowy, dialogu, styl rozeznawania i wzajemnego słuchania nazywa się synodalnością.

Synodalność jest neologizmem od słowa synod. Słowo synod pojawia się od samych początków Kościoła. Natomiast synodalność zaczyna pojawiać się w dokumentach po Soborze Watykańskim II. Teologowie to słowo wydobywają i pokazują, że opisuje coś niezwykle unikalnego, co było w synodzie. Pierwsze zgromadzenia synodalne nie spotykały się po to, żeby wypełniać ankiety. Spotykali się po to, żeby nawzajem siebie posłuchać. Posłuchać w pewnym duchowym stylu.

Teraz wam ten styl opiszę, bo to było dla mnie jedno z największych odkryć, kiedy byłem w Rzymie. Zobaczcie, w drugim tysiącleciu synody nadal się odbywały. Tylko że one były inne niż w pierwszym Kościele. Zjeżdżała się grupa delegatów z duchowieństwa, decydowali, ustalali paragrafy. A więc synody były, mimo że nie oddawały do końca tego ducha, który był stylem spotkania w pierwotnym Kościele. I teraz przychodzi moment Soboru Watykańskiego II, na zakończenie którego we wrześniu 1965 roku papież Paweł VI ustanawia synod jako zgromadzenie ogólne dla całego Kościoła. Papież chce, aby biskupi z całego świata przyjeżdżali raz na jakiś czas do Rzymu, żeby radzić papieżowi w ważnych sprawach. Synody ogólne mają charakter zwyczajnego lub nadzwyczajnego zgromadzenia biskupów. Nadzwyczajne jest wtedy, kiedy się pali i trzeba gasić. Ze względu na jakąś bardzo ważną sprawę biskupi szybko przyjeżdżają do Rzymu. Zwyczajne nie jest tak palące. Papież potrzebuje jakiejś rady, pomocy, chce posłuchać. Moi drodzy, ważne jest to, że papież nie musiałby słuchać synodów. Nie musiałby. Jak sięgniemy sobie do Katechizmu Kościoła Katolickiego, do Kodeksu Prawa Kanonicznego, do dokumentów soborowych, wyraźnie jest tam powiedziane, że papież ma najwyższą pełną władzę w Kościele i sprawuje ją w sposób autonomiczny. Może zarządzać Kościołem w sposób autorytarny. Może tak robić, ma takie prawo. Ma prawo wprowadzać daleko idące zmiany w liturgii, ma prawo wprowadzać daleko idące zmiany duszpasterskie, nawet pewne zmiany doktrynalne, które nie naruszają tradycji apostolskiej. Jest jeszcze osobna kwestia nieomylności papieża, która też jest jednoznacznie w dokumentach ustalona – kiedy jest należne posłuszeństwo wiary papieżowi, kiedy religijna uległość. To wszystko jest opisane. Ale papieże, nie tylko Paweł VI, ale kolejni po nim przychodzący, odkrywają, że sposób, w jaki chcą prowadzić Kościół, wymaga słuchania, po pierwsze Kolegium Biskupów, które ma być dla papieża ważnym sygnałem doradczym. Paweł VI ustanawia takie zwołanie, przywołując czcigodną starożytną tradycję synodów. Natomiast późniejsi papieże obficie z tego korzystają. Jan Paweł II w jednej ze swoich wypowiedzi mówił, że to jest bardzo dobre narzędzie i że w przyszłości będzie wymagało ulepszenia. Benedykt XVI w swoim przemówieniu do biskupów amazońskich mówił, że jest to bardzo ważne narzędzie rozeznawania, to jest styl Kościoła. I teraz przychodzi papież Franciszek, który od samego początku swojego pontyfikatu mówi, że bardzo leży mu na sercu synodalność; że chce

wsłuchiwać się w głos Kościoła; że chce, żeby Kościół odzyskał na nowo styl dialogu, który charakteryzował Kościół pierwszych czasów – wspólne wędrowanie, wspólną drogę. Papież Franciszek od samego początku chce przywrócić do tego procesu świeckich. Chce, żebym ja, żebyście wy byli nie tylko biernymi odbiorcami owoców tego procesu, ale żebyśmy w nim uczestniczyli. I konkretne dokumenty, które się pojawiają, m.in. Komisji Teologiczno-Programowej, którą papież powołał, jednoznacznie o tym mówią. Jest taki fajny dokument o synodalności Międzynarodowej Komisji Teologicznej „Ku Kościołowi synodalnemu", w którym jest pogłębiona analiza tego, jak bardzo ważne jest, żebyśmy przez doświadczenie synodu odzyskali świadomość, że Kościół od nas zależy i że jesteśmy jego istotną częścią.

Teraz, moi drodzy, przychodzi październik 2021 roku, kiedy papież Franciszek zwołuje synod „Ku Kościołowi synodalnemu". Synod ten będzie trwał dwa lata. Ma się odbyć w każdym kościele lokalnym. Wnioski z rozmów synodalnych, przepracowane przez episkopaty poszczególnych krajów, mają spłynąć do Rzymu. Te wnioski stworzą dokument, w który w 2023 roku będą się wsłuchiwać biskupi. Papież chce, żeby w procesie synodalnym wzięli udział wszyscy, którzy chcą się w niego zaangażować. Ten synod ma się oprzeć na słuchaniu świeckich. Dlaczego? Ponieważ papież chciałby, żebyśmy w kościele lokalnym, nie tylko usiedli i wypracowali konkretne diagnozy dla Kościoła.

Parę miesięcy temu, chyba w październiku, na zaproszenie biskupa Siemieniewskiego byłem w diecezji legnickiej mocno wysuniętej na zachód. W diecezji tej w ciągu dwóch lat liczba dominicantes (uczestniczących we mszy świętej niedzielnej) w niektórych parafiach spadła z 20% do 8%. To jest ruina. Chciałem rano w tygodniu iść na mszę świętą, a potem wybrać się w góry. Nie mogłem w zasięgu piętnastu kilometrów znaleźć mszy o siódmej rano. Parafie są łączone. Jeden proboszcz ma pod sobą trzy kościoły. Kościoły stoją puste. W końcu znalazłem poranną mszę. Moi drodzy, dlaczego mówię o tej diecezji? Na spotkaniu z księżmi tej diecezji, kiedy mówiłem trochę o tym synodzie, przyniesiono mi takie fajne dokumenty, które parę lat temu lokalny synod wypracował. W nich było świetnie opisane, jakie są problemy w kościele lokalnym, co trzeba zmienić, co trzeba zrobić. Bardzo przejrzysta metodologicznie struktura. Pracowałem w Zakładzie Logiki i Metodologii i dla mnie metodologia oraz przejrzystość tego dokumentu była piękna. Mówię do nich: Wow, jakie fajne dokumenty macie! Na to wstaje jeden z księży i mówi: Co z tego, skoro to nie działa.

Diagnozy w Kościele mamy. Wiemy, co trzeba naprawić. Nawet wiemy jak. Tylko to nie działa. Albo inaczej: gdzieniegdzie działa, a gdzieniegdzie nie działa. Dlaczego działa tam, gdzie działa, a nie działa tam, gdzie nie działa? Dlatego że diagnozy, gadulstwo, mędrkowanie jeszcze niczego nie zmieniło. Nie wystarczy wziąć się do roboty, ponieważ nie od roboty zaczyna się Kościół. Tylko od pewnego doświadczenia. A to doświadczenie, pierwszy Kościół je doskonale wyczuwał, zaczyna się od wspólnoty. Kiedy siadam z człowiekiem, którego być może do końca nie znam i zaczynam słuchać, jak on przeżywa Kościół; co go w tym Kościele boli; co jest dla niego ważne; jakie są jego troski, zaczynamy się spotykać, poznawać. Z tego doświadczenia wyrasta najpierw relacja, a dopiero potem opracowanie rozwiązań czy rozstrzygnięć. Nam w Kościele brakuje relacji. To, co mamy pokruszone, połamane w Kościele to są

relacje, to są więzi. Zobaczcie, jak funkcjonujemy w naszej polskiej rzeczywistości, w naszym polskim „piekiełku”. Jesteśmy pozamykani w różnych, nomem omen, bańkach. Każdy ma swoją i jak ktoś się w tej bańce nie mieści, bo ma inne poglądy, bo jest bardziej tradycjonalistyczny albo bardziej liberalny, to go out – wyrzucam. Najpierw ze znajomych na Facebooku, żeby nie psuł mi mojego obrazu świata. Czasami z lęku, bo może mi powiedzieć coś, na co nie będę wiedział, jak zareagować. Zamykamy się w swoich bańkach, separujemy się od innych. Jesteśmy wobec siebie wrodzy i każdego, kto inaczej myśli, kto inaczej przeżywa Kościół, traktujemy jako zagrożenie dla wiary i moralności. Najlepiej go wywalić poza zawias, żeby nam Kościoła nie psuł. Nasza religijność, nasz sposób przeżywania siebie nawzajem jest często neurotyczny, podszyty lękiem, wrogością, agresją. Moi drodzy, jeżeli to jest nasz sposób przeżywania Kościoła, to on nie jest ewangeliczny, on jest demoniczny. To jest duch podziału, który wsączył się w nasz sposób traktowania brata i siostry tak bardzo, że jesteśmy na siebie nawzajem impregnowani.

Od paru lat intensywnie zajmuję się Libanem. Nie tylko dlatego, że święty Szarbel to moja miłość. Prowadziłem badania naukowe w Libanie. Byłem tam pięć razy. Napisałem książkę o Szarbelu. Mam też kontakty z Kościołem maronickim w Libanie. Jest to Kościół katolicki obrządku maronickiego. Katolików maronitów jest tam półtora miliona. Niecałe w tej chwili, milion z kawałkiem. Są otoczeni trzystoma milionami muzułmanów. Mam wśród nich przyjaciela Raymonda, bardzo duchowy, niezwykły człowiek, który jest przewodniczącym Rodziny Świętego Szarbela w Libanie. Trzeci zakon świeckich. Rodzina świętego Szarbela w Libanie liczy parę tysięcy osób. Duża wspólnota, bardzo prężnie działająca, ewangelizująca muzułmanów. Działa w duchowości estetyczno-mistycznej. Sercem tej wspólnoty jest kult świętego Szarbela. Wiecie, co mnie tam urzekło? Szliśmy na przykład na obiad i Raymond mówi: Patrz, tę restaurację prowadzi osoba z mojej wspólnoty i nazywa się tak i tak. Potem gdzieś idziemy i on wita się z tym po imieniu, z tamtym po imieniu. Mówię: Raymond, ty znasz ich wszystkich po imieniu? On mówi: Tak. To są moi bracia. To są moje siostry. Parę tysięcy ludzi we wspólnocie. On ich zna po imieniu. Wiecie, to są relacje. W tym kościele nie ma problemu powołań, nie ma problemu młodych. To jest kościół, który żyje w zagrożeniu. Tam można życie za Jezusa stracić! To jest kościół, który jest niezwykle autentyczny, który jest oparty na relacjach, na bliskości, na więzi. A myśmy w naszym kościele te więzi potracili. Jeśli nie nauczymy się spotykać, nie nauczymy się rozmawiać, nie nauczymy się słuchać nawzajem, to nie zbudujemy jedności.

Co jest najtrudniejsze w rodzinie? Np. w relacji ojciec – dziecko? Pewnie macie takie doświadczenia. Otóż najtrudniejsze jest to, kiedy przychodzi do ciebie dziecko i wywala ci rozmaite pretensje, żale, swoje krzywdy itd. Ty, żeby go nie skrzywdzić, nie odrzucić, nie zamknąć się na niego, musisz to pomieścić. On przychodzi do ciebie z żalem, z bólem, z pretensją, a ty jako ojciec musisz stanąć w mocy i dać mu całym sobą poznać, że go słuchasz, że jest dla ciebie ważny, że go kochasz. Wielu nie wytrzyma i powie: Idź, gówniarzu! Uspokój się! Jak się ogarniesz, to przyjdź porozmawiać. Co jest nam najtrudniej zrobić jako ojcom? Powiedzieć swoim dzieciom: Przepraszam. Myślimy, że objawem mocy i siły męskiej jest to, kiedy postawimy na swoim. Nie zdajemy sobie sprawy, jak niszczymy nasz obraz ojca, jak bardzo łamiemy relacje z dzieckiem przez to, że w sposób omnipotentny, narcystyczny, głupi

zamykamy się na niego, właśnie w ten sposób, że musimy postawić na swoim. Kiedy potrafię przeprosić, kiedy potrafię go przyjąć, pomieścić, wytrzymać napór jego żalu, to on się wyżali i wypłacze, ale będzie się czuł wysłuchany, będzie się czuł wartościowy, będzie się czuł otoczony troską w swej godności i będzie między nami więź. Moi drodzy, to jest synodalność.

Jeżeli należę do małej grupy, do wspólnoty i przyjdą tam ludzie zranieni, rozbici przez Kościół, będą się żalić i ja to wytrzymam, wytrzymam napór nawet irracjonalnych żali, to jest najtrudniejsze. Nie dam im gotowych odpowiedzi. Ale jeśli ich z tym przyjmę, to się zawiązuje więź. To jest synodalność. Papież mówi tak: Weźcie, wyjdźcie do środowisk, które są poza Kościołem, które są zmarginalizowane. Wyjdźcie do ludzi, którym „nie po drodze" do Kościoła, którzy mają z nim pod górkę. Wyjdźcie, bo nikt inny poza nami do nich nie pójdzie. Szukajcie punktu dialogu, przecięcia, nie tylko wewnątrz Kościoła, ale też na zewnątrz. W środowiskach, które nam dzisiaj „odjeżdżają". Świat nam odjeżdża. Guzik obchodzi kogokolwiek w Europie Zachodniej: w Holandii, w Niemczech, we Francji, ludzi żyjących poza Kościołem w Polsce, czy komunia święta ma być do ust, czy na rękę, czy na stojąco, czy na klęcząco. Tematy, o których dyskutujemy z wielkim zaangażowaniem, to są „kosmiczne" sprawy dla ludzi spoza Kościoła. Oni patrzą na nas często jak na kosmitów. Ponieważ to, co dla nas jest ważne, w ogóle świata nie interesuje. Więc jeśli nie znajdziemy ze światem punktu przecięcia, punktu dialogu, to kompletnie ten świat nam odjedzie. I będziemy czymś, co papież nazywa Kościołem z piękną przeszłością, ale bez przyszłości.

Moi studenci, pracuję na Wydziale Humanistycznym w Instytucie Filozofii, to w 99,9% ludzie niewierzący, z trudną historią życiową. Jakbym do nich podszedł i tak po prostu zaczął im mówić o tematach, które mnie porywają, to spojrzą na mnie jak na jakiegoś szaleńca. Świat nam odjeżdża. Jeśli nie znajdziemy punktu spotkania z nim, przecięcia, dialogu, jeśli nie poszukamy ludzi tego świata, to nie będziemy w stanie zrobić tego, do czego jesteśmy powołani – ogłosić im Chrystusa. I dać im odpowiedzi na pytania, z których często sobie nie zdają sprawy, że je mają. Tylko odpowiedzi mogę udzielić dopiero po procesie nawiązywania relacji. Wiem, co to znaczy ewangelizować. Wiem, co znaczy iść do człowieka spotkanego na ulicy i mówić mu w cztery oczy: Jezus cię kocha. I wiem, co to znaczy dostać w pysk. Wiem, co znaczy być odrzuconym. Ale też wiem, że czasami z tym człowiekiem muszę się spotkać, wypić herbatę, porozmawiać, posłuchać go i wówczas moja ewangelizacja nie jest punktem wyjścia, a punktem dojścia. Bo on mnie posłucha dopiero wtedy, kiedy dam mu moją uwagę, moją wrażliwość. Wiecie, jakie miałem najcenniejsze rozmowy z moimi studentami? Mam ze studentami zajęcia z teorii kształtowania postaw. Są to zajęcia na pograniczu psychologii, psychopatologii i filozofii, dokładnie teorii wartości. Są to zajęcia bardzo otwierające. Z jednej strony mówi się o trudnościach psychicznych, z drugiej o tym, jak uwarunkowania psychiczne, zranienia życiowe powodują zmiany w systemie wartości. I są to zajęcia dla wielu trudne. Wiedziałem jedno, że muszę je prowadzić bardzo profesjonalnie. Po zajęciach, na których nie było ani słowa o Panu Bogu, często przychodzili do mnie studenci, żeby porozmawiać o tym, co się w nich działo w związku z tym, nad czym pracowaliśmy warsztatowo. Niektórzy płakali, inni mówili o swoim życiu, o trudnych doświadczeniach. Z wieloma miałem bardzo dobre rozmowy o wierze, o Bogu. To był efekt tego, że najpierw

zbudowaliśmy zaufanie, relację. Oni zobaczyli, że Kościół to nie jest coś strasznego, zimnego, ale że tam jest doświadczenie, którego szukają. I to jest synodalność.

Moi drodzy, papież zaprasza nas nie tylko do rozmowy, słuchania, debatowania, dzielenia się swoim przeżywaniem Kościoła, ale też do tego, żeby pola spotkania znaleźć z ludźmi spoza Kościoła. Żeby dać im bliskość, czułość, obecność, wrażliwość. Żeby ich nie osądzać, nie odrzucać, nie krytykować. Ale wyjść do nich z doświadczeniem relacji.

Jak synodalność miałaby wyglądać w praktyce? Doświadczyłem synodalności w Rzymie. Pojechałem tam 9 października na otwarcie synodu. Spotkanie składało się z trzech części. Najpierw mieliśmy spotkanie z papieżem i kardynałami, trochę wykładów i rozmów. Podczas drugiej części mieliśmy spotkać się w małych grupach. Wybrałem grupę angielskojęzyczną, żeby zobaczyć przekrój Kościoła z całego świata. W mojej grupie byli biskupi i kardynałowie, zakonnice, zakonnicy z różnych miejsc świata: z Australii, z Afryki, z Kanady, z Meksyku, z Niemiec, z Anglii. Prowadzącym był jezuita z Australii. Mieliśmy odpowiedzieć na trzy pytania. Pierwsze: Jak dzisiaj wygląda tzw. journey in together – wspólne wędrowanie w moim lokalnym Kościele? Jakie są realia mojego lokalnego Kościoła? Drugie: Co mnie niepokoi? Trzecie: Co mnie napawa nadzieją? Każdy z nas miał dać odpowiedź na te pytania w ciągu trzech minut. Ale zaczęliśmy od milczenia. Pięć minut modlitwy w ciszy. Potem każdy z nas odpowiadał na pytania. Trzy minuty – z zegarkiem w ręku, nie wolno było przekroczyć czasu. Było nas piętnastu. Nikt nie przerywał, nikt nie wchodził w słowo, nikt niczego nie komentował. Każdy miał swój czas. Swoje trzy minuty. Po pierwszej rundzie było pięć minut ciszy. Znowu. Potem była runda druga. Nie mogliśmy już niczego dopowiadać do pierwszej części, nawet jeżeli czegoś zapomniało się powiedzieć. Mieliśmy skupić się na tym, co usłyszeliśmy od innych. Co nas poruszyło, dotknęło, co było dla nas ważne. To było bardzo ciekawe, ponieważ w naszych wypowiedziach powtarzały się pewne wspólne rzeczy: dla wszystkich ważna jest Eucharystia; ważny jest akcent na Słowo; ważnym problemem jest przerost klerykalizmu; ważna jest konieczność dowartościowania Eucharystii; ważna jest formacja. Potem było znowu pięć minut modlitwy. Po modlitewnej przerwie była trzecia runda. Teraz każdy mógł powiedzieć, o jakimś swoim obrazie, odczuciu, myśli, intuicji, która zrodziła się podczas dzielenia. Powiedz, co Pan daje w twoje serce? Taki czas łaski – kairos. To było bardzo poruszające, inspirujące. Minęło prawie dwie godziny i na tym spotkanie synodalne się skończyło. Nie zreformowaliśmy Kościoła. Nie znaleźliśmy żadnych recept. Ale między nami stworzyła się więź. Kiedy wyszliśmy z tego spotkania, staliśmy i gadaliśmy. I nie chcieliśmy się rozstawać.

Potem poszedłem z biskupem z Afryki do Muzeów Watykańskich. Szliśmy i gadaliśmy, gadaliśmy. On mówił o swoim kościele, o swoim przeżywaniu. Ja mówiłem o swoim doświadczeniu Kościoła. To była więź. To była relacja. Jestem przekonany, że papież chce nas pobudzić do czegoś takiego. Synodalność jest szansą dla Kościoła, jest szansą przywrócenia tego, co utraciliśmy. Synodalność jest akcentem, który papież kładzie na relacje, na więzi, na pewien styl dialogu. Nie na rozwiązania, nie na diagnozy, nie na ankiety. To też może być, żeby biskupi mieli nad czym debatować. Ale

ważniejsze jest to, co się stworzy między nami. Jeżeli efektem synodalnego sposobu myślenia będzie to, że zacznę się spotykać z drugim człowiekiem w duchu braterstwa; jeżeli zobaczę, że moją misją jest przyjąć go w Kościele, posłuchać, to jest szansa, że wejdziemy w pewien styl relacji, pewien styl bycia Kościołem, który gdzieś zagubiliśmy. Kościół, który się nie boi wychodzić na peryferia; Kościół, który nie boi się czułości, nie boi się misyjności, nie boi się bycia dla drugiego, ponieważ wie, że jest do tego namaszczony i posłany. W tym duchu Kościół jest w jedności z papieżem.

Niezależnie czy macie za sobą spotkania synodalne, czy nie; czy proces synodalny jest obecny w waszych parafiach, czy nie; czy się w synod angażujecie, czy nie, zachęcam was, aby odkryć synodalność jako pewien styl bycia w Kościele. A w tym stylu odkryć przede wszystkim to, co mocno leży na sercu papieżowi: że jako świecki jesteś w Kościele ważny; że masz swoją podmiotowość, masz swoją misję, masz swoją tożsamość; że najwyższy czas, żeby ją odkryć. Bo nie ma już czasu. Jeśli tego nie zrobimy, to będziemy Kościołem z piękną przeszłością, ale bez przyszłości. Przynajmniej w Europie. Gdzieindziej to wygląda trochę inaczej. Kościół żyje najbardziej tam, gdzie łatwo stracić głowę za Chrystusa. Nam na razie dość trudno ją stracić. Może dlatego jesteśmy tacy rozlaźli i niesynodalni. Kończę tym optymistycznym akcentem.